

Janusz Korczak – Dziecko salonu
(fragmenty)

Janusz Korczak, pisząc „Dziecko salonu”, tworzył fabułę, opierając się przede wszystkim na własnych przeżyciach, dlatego dzieło słusznie uznano za powieść autobiograficzną. Nie bez znaczenia są tu fragmenty świadczące o dużej wrażliwości autora na los dziecka, zwłaszcza dziecka skrzywdzonego, odrzuconego, które – dla pisarza – jest bardziej człowiekiem niż dorosły, bo jest szczere, niezniszczone jeszcze hipokryzją, schematami i brudem świata jego rodziców.

*

Czy pamiętasz, gdyś miał długie loki, które ci opadały na ramiona, białka oczu bez żadnej żyłki czerwonej, i całowano cię, i dawano cukierki – cukierki za pocałunki? Łóżeczko twoje było miękkie i ciepłe, a głodu nie znałeś, i dużo zabawek miałeś pięknych i kosztownych. Obawiałeś się ludzi, a gdy cię całowano, piąstkami ścierałeś ślinę, choć to nieładnie. Kazano ci dla wszystkich być grzecznym, a nawet dla tych, o kim źle mówiono – nawet dla służby – chłodno grzecznym.

I przecucie jasne, lękliwe jasnej duszy dziecięcej mówiło ci, że sierotą jesteś, że nie ma pogody w dzieciństwie twoim. Miałeś świat swój własny i tajemniczy – ponury świat zaczarowanych królestw, złych czarowników i wiedźm mściwych, o których ci nie ojciec i nie matka opowiadali. Uczyłeś się tabliczki mnożenia, która trudna była, i karano cię, jeśli cacko kosztowne zbiłeś. Staraleś się nie walać czystych ubranek i hałaśliwe zabawy pod okiem czujnym płatnej wychowawczyni nie twoim były światem.

A czy pamiętasz swe modlitwy dziecięce, naiwne i tęskne?...

Lituję się nad tobą, młodzianie, bo nikt cię nie kocha i ty nie kochasz nikogo, i nienawidzić nawet silnie nie potrafisz, i nie znasz walk, jeno z duchem własnym, i sierotą jesteś. Nie wierzysz, a zabobonny jesteś, drwisz z miłości; a kochać pragniesz, nie cenisz życia, a boisz się śmierci, pogardzasz sobą, a czujesz się być wyższym ponad mrowisko ludzkie, śmiejesz się z przesądów i konwenansów, a ulegasz im z pokorą niewolnika; nie cenisz otoczenia, a grasz przed nim wieczną komedię, aby o tobie mówiono; uwodzisz i wołasz o równouprawnienie kobiet; jesteś bystrym obserwatorem, a widzisz w człowieku to tylko, co śmieszne i brudne, nie dostrzegasz tego, co smutne; wśród towarzyszków chwalisz się tym, coś złego uczynił, a kryjesz i wstydzisz, jeśliś pomyślał jak człowiek. I z życia, i z poezji truciznę ssiesz, jak pszczoła miód z kwiatu. Cierpisz nad cierpieniami świata, a silny ból zęba gotów jesteś okupić cierpieniem tysięcy; niewolniku bólu, psie, czujny na każdą zachciankę ciała.

I wleciesz swe życie niechlujne i nudne, bez myśli mocnej i czynnej, bez punktu stałego, gwiazdy przewodniej, idei szerokiej – wąskie i samolubne i prawie zwierzęce. I nie wiesz nawet, co jest tobą, a co obce tobie... A czy pamiętasz owe marzenia chłopięce, dumne? A czy pamiętasz to rwanie się wyżej, wyżej – na szczyty.

O sławie marzyłeś i ludzkość szczęśliwą widzieć pragnąłeś — i mówiono, że dzieckiem jesteś kapryśnym; ty czuleś, że dzieckiem być już przestałeś. A czy pamiętasz owe modlitwy młodzieńcze, natchnione? A czy pamiętasz legendę o bocianie i uśmiechy, i półsłówka – i szeptane, poufne zwierzenia rówieśników? I to, co piękne i tajemniczo święte jak nieśmiertelność życia – brudnym i śmiesznym, i nęcącym grzechem się stawało.

I nieraz zwiślało ci na ustach pytanie serdeczne, które ci chłodem niezrozumienia mrożono i jadem zepsucia w zawiązku zatruwano. Pamiętasz, jak byleś zatrwożony, zraniony, gdy po raz pierwszy zrozumiałeś to, o czym starsi mówili, sądząc, że ich nie słyszysz lub nie rozumiesz? I gdyś ty świat reformował, bohaterów wzywał, przyjaciela szukał – kazano ci przynosić piątki z uwagi i algebry.

A wiara twoja wówczas się chwiać poczęła, gdy widmo nieznanne, zrazu niejasne, przyobkleło się w formę cielesną. I przerażało cię, i krew twą pić chciało, i zbliżało się krokiem miarowym, upartym; chłód konieczności powiał na cię. Czuleś, że odstępuje cię wszystko, co dobre, a otaczają złe moce i uciec nie możesz, bo drogi nie znasz, i nie ma – kogo byś zapytał o drogę. Pamiętasz swą miłość pierwszą, czystą; pamiętasz dziewczę, które ci się w tęczy kolorach, jak święte, na krótką ukazało chwilę i znikło na zawsze? I przyszła kochanka pierwsza – druga – trzecia – czwarta – piąta – dziesiąta – płatne – widzisz ich twarze? Nie płaczesz, piękny młodzianie?...

Płynie echo wspomnień dziecięcych skargą bolesną, obłądną; płynie jak fala wielka, przejrzyista i otacza cię, i dech wstrzymuje w piersi, i serce zamiera w skurczu bolesnymi. Drży struna wspomnień nutą jęklivą i miast coraz ciszej, coraz głośniejszą dźwięczy, zawodzi żałośnie.



Ponury ranek jesienny. Skończyło się panowanie prostytutek – nocą; dzieci idą do szkół. Idą.

Idą pojedynczo, po dwoje, po troje – chłopcy i dziewczęta – starsze, młodsze, najmłodsze – w nowych lub zrudziałych tornistrach – i ledwie od ziemi odrosłe – w szubkach albo szynelach na wyrost.

A nad dziećmi wąski pas kirem chmur zasnutego nieba, na które nie patrzą, a pod stopami wilgotne błotem kamienie.

Idą drobnymi, szybkimi krokami – młodsze, i poważnie ociężałe – z klas wyższych. Mijają się, krzyżują, prześcigają, spotykają – witają podaniem ręki – chłopcy lub pocałunkiem dziewczęta, i idą razem, mówiąc o lekcjach dzisiejszych, klasowym zadaniu lub ostatnim w tym kwartale dyktandzie.

Idą – objęte wspólnym mianem „młodzieży szkolnej”, która ma ulgi w tramwajach.

W czapkach z rozmaitymi znaczkami, w kapturkach i kapeluszach, przybranych wstążką, piórkiem, puszkami; w kaloszach lub bez kaloszy, zapięte na wszystkie guziki lub tak tylko sobie – byle z domu prędzej wyprawić.

Idą do szkół – ze wszystkimi lub niektórymi tylko prawami, do pierwszo- lub drugorzędnych, do renomowanych i mało lub wcale nieznanym. A każde ma kogoś, kto mu do tornistra włożył bułkę lub dwie bułki, z wędliną lub pieczenią od wczoraj, kto wpis opłaca i w domu pyta o stopnie – i mówi: „ucz się”.

Idą – o włosach jasnych i ciemnych, ładne i brzydkie; podobne do mamy lub taty, takie, które nos szpeci lub oczy zdobią, usta mają za szerokie lub gryzą paznokcie. Idą dzieci paralityków, głupców, suchotników, ideowców, kokot salonowych, rozpustników, lichwiarzy, fabrykantów. Idą – których lekarz nie pozwolił forsować, idą za wcześnie lub za późno oddane do szkoły, pierwsze- i drugoroczne, które trzeba prosić, aby jadły, które tran piją, które stanowią całą, pół lub ćwierć pociechy rodziców – i półsieroty – i sieroty...

Wiedzą, że za dwa dni niedziela, że w przyszłym tygodniu nie ma święta – za dwa tygodnie – galówka, za sześć dopiero miesiące – wakacje...

Idą – dobrze lub źle wychowane, psute przez mamę, ojca, dziadków lub za surowo chowane – którym idzie łatwo, łatwiej, najłatwiej – trudno, trudniej, najtrudniej – które „cudem przechodzą” lub pół nocy siedzą nad książką, książkę pod poduszkę kładą i rano wstają, żeby powtórzyć: I te, które piszą wypracowania „dla całej klasy”, ale ściągają zadania; które zaraz zasypiają, gdy się położą, lub długo mają oczy otwarte, bo chcą wiedzieć, jak to się zasypia, albo myślą, myślą o różnych, różnych rzeczach, albo w ogóle, zasnąć nie mogą. Leniwe i kowale, które z byle czego lub rzadko się śmieją, uległe lub uparte jak kozioł, lubiane lub nie lubiane przez klasę; które ze wszystkiego się zawsze wykręcą i mogą lekcji nie umieć, a piątkę dostać – śmiałe i lękliwe, radykały i ugodowcy szkolni – kłamcy i prawdomówni; – które chcą lub nie chcą, dobrze lub źle podpowiadają – królowięta i kopciuchy szkoły i kinderbalów; – które „chlubę lub wstyd rodzicom przynoszą”.

Idą dzieci małżeństw z rachunku, przypadku, małości, litości lub obowiązku – małżeństw dobranych lub niedobrych, niby szczęśliwych i nieszczęśliwych, – zawartych za zgodą lub bez zgody rodziców – gdzie ojciec wziął lub nie wziął posagu, lub stracił posąg, lub tylko mu obiecano. Dzieci małżeństw, gdzie ojciec karciaż, kobieciaz – a mama go kocha i płacze po nocach lub mama gości przyjmuje, a ojciec myśli o wszystkim; gdzie mama lub ojciec chory albo zniechęcony, albo nerwowy – gdzie rodzice się kłócą, jedno skąpe, a drugie rozrzutne; gdzie starsza siostra akurat się zaręczyła lub wczoraj urodził braciszek; dzieci długo oczekiwane i z radością witane lub witane niechętnie, przez nieostrożność poczęte – a później nic zrobić się już nie udało.

Idą i obliczają, z czego dziś na pewno i może odpowiadać będą, czy będą wyrwane na poprawkę, czy chory nauczyciel już zdrow i przyjdzie, i w jakim będzie humorze. Idą i mówią o nauczycielach, o ostrych i łagodnych, sprawiedliwych i niesprawiedliwych, takich, co dużo lub sami nic nie umieją.

Idą dzieci kształcone z wysiłkiem lub z nałogu. Idą – które mają lub nie mają własnego pokoju, które uczą się w stołowym, sypialni, same lub z rodzeństwem, którym pomaga „rutynowany i energiczny” korepetytor lub same radzić sobie muszą; które uczą się grać na fortepianie i „języków” lub drżą, że przełożona znów się o wpis upomni; gdzie jest lub nie ma salonu, jest lokaj lub „do wszystkiego”, lub wcale nie ma służącej; które za piątkę rubla dostają lub za dwójkę – baty od ojca. Które marzą o kucu lub sławie, o nowej sukience lub – niezależności kobiet.

Taki wielki tłum dzieci, taki długi sznur ludzi; taki nieskończony szereg przyszłych lekarzy, techników, ładacznik balowych, kucharek i działaczek, księży, adwokatów, głów szalonych, kamieniczników i wykolejenców, wodzirejów, marzycieli, plotkarek o kurzych mózgach, filantropów na gumach; karierowiczów w najrozmaitszych zawodach i szubrawców. I tyle łąz, i tyle istnień zmarnowanych.

Idą – które bez pardonu roztrącać będą – i takie, które pierwsza złamie zawada; które przejdą przez życie jak przez froterowaną posadzkę salonu lub które wzrok zatopią głębiej – jeszcze i jeszcze głębiej – i w górę wzrok wzniosą i gwiazdę ujrzą. I ku gwiazdzie wzlecieć zapragną – ale zawrócą, bo im wyżej, tym mroczniej i chłodniej – i te, które się nie cofną z pół drogi.

*

Matka, karmiąc piersią swoje najmłodsze, ciągnie opowieść:

„Księżyc był jasny taki, śnieg aż się iskrzył i ani żadnego znaku, ani nic: kamień i woda. Tak ja do izby. Zatrzasłam drzwi, patrzę, a tu mój Franuś cały dygoce, jakby go co podrzucało, i taki się siny zrobił w jednej chwili, że okropnie. A potem już nic, tylko dygoce i tak jakby chciał coś mówić, bo patrzył na mnie. Ale nic, tylko rączyny wyciągnął, to mu tak latały, i ani nie zapłakał.

Tak ja dopiero w krzyk. A tu się kobiety pozlatywały i dopiero: a smarowanie, a to, a tamto. A ja już nic, nic, tylko proszę, żeby go już nie męczyli, bo to już nic nie pomoże.

No i co wy powiecie, moi państwo – za jaką godzinę może już nie żył mój Franuś...”

Ciekawa historia skończona. W głowie matki nie znalazłbyś żalu po jej Franiusiu. Toć prócz tych trojga dzieci, co zmarły, jest jeszcze czworo. A czworo dzieci obuć, opruć, nakarmić, a na noc do snu ułożyć i jeszcze czym ciepłym przykryć – trudno bywa.

W głosie matki brzmi odcień dumy, że ot, jej Franuś swą śmiercią nadprzyrodzone siły poruszył, że istnienie jego wplotło się w ów świat tajemniczy, gdzie spoczynek i nagroda za życie w znoju – i kara straszna za grzechy.

Głos matki tchnie przejęciem, a serce tak silnie uderza jak w piersi twórcy.

Ciekawa historia skończona.

(...)

Toć te mogiłki dziecięce, gęsto rozsiane po kraju, to pierwiastek poezji w szarym bycie pracowników jutra.

*

Opowieść Tomka była bezładna. Nikt myśli jego nie numerował, nie pętał powijakiem gramatyki. Nie umie opowiadać, jak w ogóle ludzie, którym słowa nic w życiu nie dają.

Wikłał fakty, przeskakiwał z tematu na temat, wyjaśniał błahe wypadki, po kilkakroć powtarzał myśl lub zwrot, czepiając się go pijacko. To nużył rozciągłością; to nagle rzucił porównaniem świetnym, zaczerpniętym z samego życia.

Czasem urwał opowieść na połowie zdania i bacznie nam się przyglądał: czy nie powiedział za wiele? Popijał piwo. Męczyła go czkawka..! I nagle w oczach Tomka odmalował się przestach i zaczął opowiadać jeden drobny na pozór szczegół ze swego dzieciństwa. Epizod ten z życia bitego chłopaka nabrał w jego opowiadaniu kształtów prawie potwornych.

Była to nieudana wyprawa do cudzego ogrodu na jabłka. Stróż czy ogrodnik był czujny. Dokuczyły mu snadź kradzieże i zemścił się na jedenastoletnim chłopcu po swojemu, brutalnie.

– Wicek wlaź pierwszy, a potem my znowu na parkan. Ledwo my wskoczyli do ogrodu – parkan był niewysoki – a on już Staśka trzyma. Stał przyczajony, ściervo. Ja jego z tyłu w plecy; ale co taki rak ma za siłę; złapał mnie za rękę, oni wszyscy, szczeniaki, uciekli, i Stasiak także. Ani mi nie pogroził, ani uderzył – nic, nawet nie trzymał mocno, tylko leciutko. „Chodź, powiada, dam ci jabłka za to, że mnie chciałeś bić”. Poszliśmy głęboko w ogród, gdzie miał swój niby-dom. Jak zamknął drzwi na klucz, tak ja już więcej nie oddychałem. Potem znowu okno zamknął. Kazał mi usiąść na stołku, bo się – powiada – zmęczyłem, jakem przez parkan przelazął, a on tymczasem poszuka jabłek. I zaczął zdejmować ze stołu, co tam leżały nasiona różne, i układał na ziemi. A wszystko, drań, tak powoli, że mu tylko na ręce patrzałem. Tomek drgnął.

Potem wyjął z kąta wicie i zaczął wybierać co grubsze. Potem moczył w wiadrze każdą osobno i próbował w powietrzu, aż świszcząło. Potem zaczął mnie sam powoli rozbierać, aż do naga. A ja nic: ani drgnę. Potem wziął mnie na ręce i położył na stole i powiada: „Leż sobie teraz spokojnie; a wygodnie ci?” – I zaczął lać. Wcale nie trzymał, tyłka lał. Jak tu krew, to on dalej bije, ale powoli. Posiekał mi skórę na karku, na nogach; a potem przekręcił i bił w brzuch i w piersi – aż do samej szyi. Co się jedna wić połamie, to bierze drugą. Już myślałem, że zabije. Ja ani krzyknąłem, tylko mi zęby latały i takem drżał.

– Potem usiadł i sapał. A ja leżałem i ani się ruszyłem. Potem obejrzał mnie i powiada: „dobrze”. I wylał na mnie wiadro. Potem znów usiadł i kazał mi odpocząć. A potem ubrał mnie i wyprowadził z ogrodu, a już przy furtce to dał mi jabłko i mówi: „a jak znowu będziesz chciał, to znowu przyjdź”. I jak nie lunie mnie w pysk, aż mi jabłko wyleciało z ręki, i nie podnosiłem go nawet.

– Stoję ja przed parkanem i ani się ruszę. A tu był dalej plac, gdzie wywozili gruz i śmiecie. Stoję tak, a tu patrzę: coś się rusza. Ciemno, ale zobaczyłem kota: w śmieciach grzebie. Tak ja przykucnąłem cichutko i za cegłę. Kot spojrzął na mnie i ślepia mu się świecą – ścierwie. Ja się czaję i on się czai. Tak mnie rozirytował, że i o bólu całym zapomniałem, tylko patrzę, co on robi. Dopiero jak on skoczył i w nogi, tak ja za nim cegłą. Przetraściłem mu, draniowi, łapy. Jeszcze chciał uciekać, a ja go za ogon. On drapie, a ja go łbem tak o kamienie, o ziemię, o ziemię. Aż go zamęczyłem na śmierć.

*

Wiem, dzieci – że nie lubicie w gramatyce w y j ą t ków. Wiecie, chłopcy: my nie powinniśmy się gniewać na wyjątki, bo one dowodzą nam, że mowa ludzka żyje i pragnie być wolną – że nie chce dać się ludziom spętać, ujarzmić. Można poukładać w szufladzie pierniki albo papierosy, i będą tam leżały aż do końca świata – ale mowa ludzka żyje, rośnie – wyrывa się do wolności – i stąd są owe wyjątki w gramatyce, na które się gniewacie. Ale po co nam gramatyka? – zapytacie może.

Bo bez gramatyki nie można dobrze mówić ani tym bardziej dobrze pisać.

– A dlaczego to trzeba bez błędów mówić albo pisać, kiedy i tak mnie rozumieją?

Bo błąd w mowie – to jak plama tłusta i brzydka na fotografii matki, którą kochasz, to jak niestaránnie przyszyta łąta na ubraniu, w którym idziesz w gościnę. Źle mówić lub pisać – to znaczy krzywdzić swoją mową tych wszystkich, którzy ją z taką czcią budowali. Język smuci się, choruje – gdy ludzie źle nim mówią.

*

Spotykam dziesięcioletnich nałogowych palaczy; spotkałem dwunastoletniego pijaka-ateusza, który miał kochankę. Kurier pisał niedawno, że jedenastoletni chłopiec w obronie (katowanej matki zadał ojcu nożem kilka ran, Nazwisko jego: Zieliński, adres: Sprzeczna Nr 4 na Pradze.

Pięcioletni Szczepan załatwia sprawunki w sklepiku, niesie w zmarzniętych rączynach wielki bochen chleba, a pod pachą dwie wiązki drzewa. – I zbili go, gdy zgubił złotówkę, a bili mocno.

Sześciolatek dzieci niosą ojcom obiad do fabryki, biegną prędko, żeby nie skrzepl zupełnie przez drogę przez kilka ulic. I nikt się nie boi, by ich wóz nie przejechał.

Mała Stefka pomaga matce przy robieniu kwiatów od Świtu do zmierzchu, opiekuje się młodszym rodzeństwem.

Dziewięcioletni Antos w fabryce obsadek pracuje dziesięć godzin na dobę – z sześciostomatową tygodniową płacą.

Pan Andrzej za Jerozolimską rogatką ma troje dzieci: dziewczyny – lat trzy i pięć, i chłopiec – lat siedem. Dzieci wspólną pracą wyżywiają konia. – Bo kiedy chłopci przystaną z wozami siana, trzyletnia z workiem siada z dala na placu, chłopiec wyrывa z fury pęki siana i oddaje starszej siostrze, która je niesie na plac do worka. Chłopak często batem dostanie, ale zwinny.

W czytelni dzieci biorą książki dla siebie i rodziców.

Ojciec szewc na zydlu przy pracy, a dziecko mu czyta głośno *Anielkę* Prusa lub *Kordeckiego*. Ojciec czytać nie umie.

Kiedy Wroński mieszkał na Szmulowiznie i robił słomianki, posyłał malca na cały dzień do Warszawy z towarem. – Późno wieczorem wracał chłopiec, a biegł, co sił starczyło, przez Pragę, aby go po drodze nie ograbili z pozostałych słomianek i pieniędzy.

Mówił pan Kossowski:

– Jakbym opowiedział panu Janowi, co dziecko zostawione sobie robi od lat dziewięciu, to by pan śmiał się i płakał razem ze mną. Ja nawet chciałem to wszystko spisać, ale nie potrafię.

Spał w piwnicy, gdzie zimą śnieg ze ścian było można zdrapywać, a buty, jak zdjął je czasem, tak zaszły lodem, że nogi raniły.

– Młodemu się zdaje, że ma sto korcy zdrowia, a potem brak, oj, brak. – Takiemu szkrabowi nigdy nie zimno, nigdy nie głodny i żaden ciężar mu nie za duży – w tym jego duma.

*

Teresa Walas – *Postowie* (fragment)

Pisząc *Dziecko salonu*, drugą swoją powieść, drukowaną w odcinkach na łamach „Głosu”, opublikowaną jako książka w 1906 roku, porzuca Korczak wzorzec powieści przedmiotowej i zwraca się ku innej jej odmianie, ku wypracowanemu przez modernizm jej wzorcowi subiektywistycznemu. Jakkolwiek interpretować głoszoną przez modernistów mglistą prawdę, że utwór artystyczny nie jest reprezentacją zewnętrznej rzeczywistości, lecz odbiciem duszy artysty, a robić to można zarówno w duchu idealizmu obiektywnego, jak i skrajnego impresjonizmu psychologicznego, jedno jest pewne: nacisk kładzie się na podmiotowość aktu, niezależnie od tego, czy bierze się pod uwagę płaszczyznę poznania przeżycia czy ekspresji. Przedmiot przedstawienia nie znajduje się już teraz na zewnątrz świadomości, lecz utożsamiony zostaje z jej treścią. Tym przeświadczeniem filozoficzno-estetycznym odpowiada w praktyce wyraźna subiektywizacja wszystkich prawie na zabieg ten podatnych gatunków literackich. W powieści, gatunku konserwatywnym i z natury swej ciężącym ku ujęciom przedmiotowym, reformę upodmiotowienia przeprowadzano etapami. Za jej moment istotny uznaje się przede wszystkim personalizację powieści, polegającą na maksymalnym zbliżeniu lub wręcz nałożeniu na siebie horyzontu bohatera i narratora, a często także, co teoretyk literatury przyjmuje z abominacją – autora dzieła. Dopuszczona zostaje do głosu pierwsza osoba gramatyczna, „ja” przeżywające niszczy strukturę dobrze zrobionej epiki i rozpiera się na jej zgłiszczach. Znikają walory właściwego stawiania charakterów, spójności postaci, psychologicznego prawdopodobieństwa, trafnego rozpoznania rzeczywistości i rządzących nią praw; pisarz przestaje być mądrzejszy od świata, o którym mówi. Pojawia się otwarcie lub pokątnie, autobiografizm. Z tych właśnie przywilejów skorzysta teraz Korczak w *Dziecku salonu*.

*

Świeca dogasa w lichtarzu. Świeca się dopala. Knot się wydłużył i wysysa resztki brudnego tłuszczu. Knot się zapadł i wylizuje ostatnie krople. Płomień się chwieje i kopci... Zgaśnie?... Jeszcze nie: wystrzelił jaśniejszym błyskiem i skurczył się, i trzeszczy, i pryska... Zgaśnie?... Jeszcze nie. Znow wysunął się poza obręb lichtarza i liże ściany. Kołysze się, dojada brudny, zakopcony tłuszcz. Boryka się z niemocą i dławią. Tragedia dogasającej świecy...

Wybór fragmentów i komentarz: Maciej Michalski